Ner 24.

# DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 16 grudnia 1842. Rok trzeci.

## MODY.

*Paryż, dnia 1 grudnia 1842.*

**Stroje damskie**. Nie wiele postrzega się zmiany w formie sukień; staniki w sukniach strojnych są ciągle gładkie i kończaste, w sukniach półstrojnych ozdobioue są ukosem przy którym znajduje się jeden rząd guziczków lub też ozdóbka pasamonikowa. Rękawy dają się obcisłe, ozdobione u góry gęsto marszczonemi szlareczkami w ukosy i haftowanemi u wierzchu; spód rękawa zdobi się tak samo, lub też korunkowym mankietkiem. Spodnica zdobi się trzema falbanami lub też dwoma szerokiemi wolantami. Suknie negliżowe zdobią się z przodu rzędem bardzo gęstym guziczków przyszywanych środkiem ukosa dość szerokiego.

Suknie jakie się biorą na zabawy wieczorne mają bardzo krótkie i obcisłe rękawy, a stanik ozdobiony dwiema szlareczkami lub bertą wyciętą w czworogran, a z tyłu dość długą; suknie balowe są częstokroć z potrójną spodnicą, co im wiele wdzięku dodaje.

Kapelusze noszą axamitne, na ranną zimową wizytę taki kapelusz bardzo jest przyzwoity. Wkłada się na głowę tak, że zdaje się leżeć zupełnie prosto, nie zaś zadarto lub pochylono. Jak na ubranie ranne zdobi się go wstążkami marszczonemi, dalią lub też perłami; zaś na wizytę z pięknemi piórami, lub kitką. Zachwycającem ubraniem głowy jest także kapotka z kosmatego axamitu, koloru słomkowego, zrobiona formą przecudną. Noszą też kapelusze axamitne zielone, ozdobione kokardką i kilką rzędami pięknych korunek.

Wielce są wygodne na teraźniejszą ostrą porę płaszczyki po pas krótkie, z futerkiem; niezasłaniając kibici, są razem ciepłe i strojne. Noszą także zarękawki, maluchne w prawdzie, bo tak jest modnie, chociażby się duże lepiej przydały. Zastępują je niekiedy rękawiczkami zimowemi, które się tu pojawiły, są one kastrowe, i temże samem podszyte, a wyglądają na pięknych rączkach damskich ładniej niż zarękawki.

N e g l i ż: kapotka z axamitu niestrzyżonego ozdobiona kwiatami.

Suknia na sposób redyngocika z pekinu z szeroką przepaską, stanikiem gładkim, rękawami z podwójnym ukosem; środkiem stanika i spodnicy dwa rzędy jedwabnych guziczków. Kryspina kaszmirowa, watowana i podszyta kitajką pomarańczowego koloru.

P r z e j a z d k a: kapelusz różowy z axamitu niestrzyżonego, obszyty bogatą blondyną spadającą po bokach, i ozdobiony białym piórem.

Suknia axamitna czarna; stanik wcięty z fałdzikami; tak stanik jakoteż rękawy u góry i przód spodnicy ozdobiony koronkowemi szlareczkami, które u spodnicy mają kształt drabinki; środkiem nich idzie podwójny rząd gagatkowych guziczków. Kołnierzyk z korunek angielskich; kryspina axamitna czarna, podbita gronostajami.

S t r ó j w i e c z o r n y: ubranie głowy z korunek i kwiatów; w koło przepaska, z tyłu zaś warkocz założony grzebieniem. Suknia morowa, jasnoniebieska; stanik grecki, rękawy bardzo krótkie, spodnica ozdobiona dwoma dużemi wolantami z korunek angielskich; i rańtuch z angielskich korunek.

N a r y c i n i e d z i s i e j s z e j w i d z i m y: kryspinę atłasową i suknię jedwabną z wysokim stanikiem, tudzież mantylę z materii jedwabnej.

**Stroje męskie**. Między zimowemi sukniami ciągle panują paletotsaki, burnusy i paletoty, przy których teraz podszewka największą stanowi nowość, gdyż bywa po trzy i cztery razy droższą od materii wierzchniej. Surduty zimowe,

które się krojem do paletotu zbliżają, coraz więcej zyskują wziętości.

R y c i n a   d z i s i e j s z a   p r z e d s t a w i a: kaban amerykański.

Kroje sukień męskich na dzisiejszej tablicy są następujące: kaban amerykański, amazonka z peleryną, i paletot bez szwa na biodrach.

---

## WIECZÓR W TRIEŚCIE. PRZEPRAWA DO WENECII.

p r z e z

*Walentego Chłędowskiego.*

Ostatnią chwilę pobytu mego w Trieście poświęciłem zwiedzeniu grobowca Winkelmana, zamordowanego tu w tej samej gospodzie, w tym samym pokoju, w którym ja mieszkałem. Ztęskniony za Włochami wracał on z Wiednia do Rzymu, udarowany przez Marią Teresę, uczczony przez Kaunica, z wielkiemi nadziejami i pełen nowych pomysłów do przyszłych dzieł swoich. Syn ubogiego szewca, nauczyciel małej szkółki, wzniósł on się własnem jedynie usiłowaniem, pracą i wytrwałością, śród różnych kolei losu, do rzędu znakomitych uczonych, jako znawca i krytyk starożytności, a jego dzieje starożytnego umnictwa i nam są znane w przekładzie Stanisława Potockiego. Tu, gdy właśnie już miał się puszczać na morze, padł zdradziecko pod żelazem złoczyńcy. Uczony dr. Rosetti, którego światłem Triest się chlubi, poświęciwszy Winkelmana pamięci opis ostatnich dni jego, wystawił mu tu pomnik r. 1820. Na wzgórzu zamkowem, na cichym cmentarzu kościoła *St. Giusto,* patrona miasta, spoczywają, śród zabytków starożytności rzymskich, zwłoki jego. Tu i grobowiec z białego marmuru, dzieło Antoniego Bosa, wsunięty w wklęsłości muru, otaczające go cmentarz. Gęste krzaki róż, właśnie w zupełnym kwiecie, osłoniły jego boki, wonią napawając powietrze. Odradzając się z każdą wiosną, stoją one tu śród grobów i mieszkania śmierci jak myśli wątpiącego ducha i odrodzenie się do innego żywota, jak uczucia w smutku pogrążonego serca, nadzieją lepszej przyszłości budzone. Piękność płaskorzeźby i sława Winkelmana zasługiwałyby, aby ten pomnik na innem stał miejscu. *) Ledwie komu wiadomo, że się tu znajduje. I ja wiadomość o nim mam podziękować jedynie uprzejmości kapitana Lindemanna, komendanta podówczas zamku, syna byłszego sanockiego starosty, w którego towarzystwie parę godzin wielce interesujących na zamku strawiłem. Uszczknąłem dwie róże; jednę złożyłem na grobie nieszczęśliwego, drugą wziąłem ze sobą na pamiątkę tej chwili i miejsca.

Zbliżała się godzina opuszczenia Triestu. Moi towarzysze udali się dla posiłku na całonocną podróż do kawiarni greckiej; ja, w rzewnem jakiemś usposobieniu wolałem przechadzać się ponad brzegi portu, aby nasycić się widokami, z któremi już na zawsze miałem się pożegnać.

Cichy wieczór, uroczysta spokojność morza, udzielają szczególniejszego uroku widokom i przedmiotom nadmorskiego miasta. Głównym punktem ostoi triestskiej jest *Molo di San Carlo,* stanowisko większych okrętów. Tu stoi już i *vapor* (parowy statek) w pogotowiu do nocnej przeprawy, przytkniony liną do żelaznego pierścienia kamiennej grobli; już i mostek zarzucony, a powoli zbierają się podróżni. Pojedyncze okręta z obwisłemi żaglami tkwią nieruchomo, jak wmurowane w toń morską, którą złoci ostatni słońca promień; inne znowu usiłują wydostać się na otwarte morze, przyprzągłszy do swoich przodów po kilka małych łódek; te, linewkami do olbrzyma przymocowane, to jak trytony się pławią, to biją wiosłami jak Neptuna rumaki; ale okręt zaledwie się porusza. W ostoi zwykły jeszcze gwarliwy ruch i wrzawa; krzyk opuszczonych fakinów, przeraźliwy głos okrętowych piszczałek, jeszcze i turkot ładownych bryk, składających towary. Tylko od strony morza cicho, spokojnie; żaden wietrzyk nie rozchwiewa blasku nieprzejrzanego zwierciadła. Gdzieniegdzie tylko, dążąc ku brzegowi, pruje czółno rybackie śrebrną wód powierzchnię. Biała rybitwa, upatrując łupu, buja łamanym, niespokojnym lotem; tu skąpie pierś jaskółka, muskając jak strzała ostrem skrzydłem ulubiony żywioł.

Taka cisza nadmorskiego wieczora, chwytając uczucie człowieka czarodziejskiem wrażeniem, nastraja umysł do smętnego dumania. Zdradliwa spokojność ruchliwego żywiołu, który lada chwila zgubną wściekłością rozsrożyć się może; ta oddal bez granic, w której oko się gubi i na żadnym niespocznie przedmiocie; to spłynienie się nieba z morzem, choćbyś nie wprost od grobów tu przyszedł, pogrąży cię w niezgłę-

---

*) Dowiadujemy się właśnie, że za pobudką dra. *Kandlera,* badacza starożytności, zawiązało się w Trieście towarzystwo, którego kosztem zebrane być mają wszystkie lapidarne zabytki z czasów rzymskich w obwodzie Triestu znajdujace się, w celu utworzenia z nich miejskiego muzeum, które, na cześć Winkelmana, jego ma nosić nazwisko.

bioną toń myśli, ogarnie mimowolnem marzeniem. Wyobraźność rozpuści swe skrzydła, uniesie cię w dalekie światy i dalej, dalej za groby. Nie stoimyż wszyscy u brzegu nieznanego morza, które nam przepłynąć potrzeba, nie mając przeciw jego burzom, przeciw jego falom, innego kompasu, krom tego tu w piersi?.. Do jakiegoż lądu zaniosą nas jego ciemne fale?.. Ach! tą krainą, która nam zdala błyszczy, może są tylko owe mgły złudliwe, w których żeglarz tego świata pożądany ląd widzieć mniema. Gdy wtem powieje wiatr od zachodu, i one nikną, a on bez otuchy, bez pocieszenia widzi się znowu w nieprzejrzanej próżni!.. Ale nie, jak Kolumb, głosem wewnętrznym, jakby niepowściągliwą żądzą pędzony, zawsze ku zachodowi dążył, aż wysiadł na brzegach nowego świata: tak i myśl nasza, budzona wewnętrznym głosem przeczucia, wskazuje na daleką krainę, gdzie na nieznanym wylądujemy brzegu.

Słońce zatonęło, w zwierciedle morza odbijał się krwawy brzask zachodu, zmrok zwolna zapadał. Naraz z strażniczego okrętu rozległ się grzmot działa, zwołujący marynarzy na pokład okrętów. Małe czółna i łodzie, uczepione jak drobna dziatwa do macierzystego okrętu, rozbiegłszy się w różne strony, rozpoczęły codzienny, wieczorny swój taniec. U kończyny *Molo di Santa Teresa,* zabłysnął migotnem światłem majak, ku bezpieczeństwu ponocnych żeglarzy.

Nie ledwie więcej jeszcze zajmującym jest widok portu spaniałością nocnego obrazu. Zmrok pokrył przestrzeń morza; na stropie niebios coraz roziskrzają się gwiazdy; po czarnych toniach okrętowe latarnie rzucają blade światło, a odblysk jego kładzie długie cienie pobliskich masztów po wodzie. Jak potworne olbrzymy stoją obok siebie okręty, ucicha wrzawliwy ruch zarobkowej skrzętności, wszystko na lądzie, na okrętach, na wodzie, łączy się jakby w jeden, zachwytny, poetyczny obraz.

Tam, naprzeciw *Locanda grande,* gdzie Winkelman pod żelazem mordercy wczesną śmierć znalazł, wprost tego okna, z którego widok ku morzu był dla mnie zawsze tyle ponętny, tak nowy, jest *Molo di Vino,* i plac wyładowywania drzewa; tu stoją istryjskie i dalmatyńskie komiegi, jeszcze około nich ruch ciągły, wynoszą cebrami czerwone wino, a tysiąc głosów różnego języka, rozmaitego brzmienia, rozlega się wzdłuż brzegów ostoi. Na pokładach migocą niezliczone światełka, a jak duchy, chwilowym błyskiem w połowie olśnione, grupami i pojedyńczo, przechadzają się majtkowie i czeladź okrętowa, lub układają do snu pomiędzy paki i beczki. Powoli scena ta, stanowiąca związek i przedział między dniem a nocą, zmienia się w uroczystą ciszę; milczenie nocy przerywają tylko pojedyncze głosy, a czarną ciemność gdzieniegdzie światełko z kajuty lub pokładu.

Tu oto w sąsiedztwie wapora stoją większe okręty; poznasz je po wysokich masztach, po barwach powiewnej flagi, poznasz je po sposobie wieczornego ruchu osady. Tam głośno jeszcze na pokładzie, rum i cypryjskie wino krąży w sklenicach, a majtkowie spełniają śród okrzyków zdrowie kapitana; to świeżo przybyli Amerykanie bankietują w noc ciemną. Tam z drugiej strony *Molo di San Carlo* unoszą się ponad spokojne wody głosy jakby kościelnego spiewu; melancholijnie, uroczysto, stłumiono, brzmi zdala spiew jednotonny, i znowu ucicha, i znowu brzmi w równych, oznaczonych odstępach; to himn do matki boskiej, to chóry osady greckiego okrętu. Tu między niemi stoi jak wryty na kotwie ogromny kupiecki korab; pokład jego kilka lamp jeszcze oświetla, z założonemi nogami, nieruchomo, spokojnie, niemo, widzisz kilka postaci dziwnego stroju obok siebie na dywanie siedzących, ambra grubemi kłębami wzbija się i rozpływa w powietrzu, a niewolnik czarny obnosi wonną mokkę i do każdej czarki puszcza kilka kropel rozmarzającego napoju, który już oto poczyna otwierać wiernym, synom proroka wszystkie roskosze raju Mahometa; to muzułmanie.

Powoli i te obrazy się gubią. Cichość nocy osiada na morze i brzegi ostoi, a z powiewem lekkiego wietrzyku słychać fale bijące równym taktem o niewzruszone groble. Jeszcze tylko jedno czółno rybackie, opoźniwszy się jakąś przygodą, spieszy ku bezpiecznym brzegom, szparko toń przerzyna, i przerznięte szlaki usypuje iskrami. Młody xiężyc wzbił się ponad szczyty skalistego Karstu, bladem złotem powodzi wieże kościołów i zamku, a przestrzeń morza żywem polewa śrebrem. Noc uroczysta spuściła swój spoczynek, na całą naturę, tylko majak zawsze i zawsze ruchomem czuwa okiem.

Dzwon wieży jezuickiej uderzył dziesiątą; huk działa rozległ się po ostoi i po całej kotlinie Triestu. Kto jeszcze na przechadzce wzdłuż *Molo* czekał jego grzmotu, żegna przyjacioł lub krewnych i spieszy na statek. Cały orszak podróżnych stoi na pokładzie w natężonem ocze-

kiwaniu, rychło zaszumią koła i wapor na otwarte wysunie się morze.

Nie jedno człowiek podejmuje w życiu, przy czem nic nie czuje, a często, powiedziećby można, nie myśli; ale na otwarte morze pierwszy raz w życiu się puszczać, wsiadać na okręt i falom się powierzać, to nie należy do rzędu tych wydarzeń, przy których nic się nie czuje. Już na wstępie do tego domu, po zdradliwym żywiole bez ustanku się kołyszącego, całą istotę naszą przejmują jakieś wzniesione uczucia, które umysł w ciągłem wzruszeniu, w ciągłem natężeniu trzymają. Nic nowego nie jest w stanie ducha zatrudnić; okręt i morze całkiem go zajęły. Gmatwa tych wzruszeń zaledwie da się rozwikłać, drga serce z uciechy, ale i trwożliwe mieszają się do niej uczucia; to uczekiwanie, to obawa, gonią się pomysłami i zacierają na przemian. Ten dom, w którym się powierzamy niesfornemu żywiołowi, zdaje się wprawdzie śmiało wstępować w zapaśnicze szranki z jego straszliwością; ale ten dom z kruchego drzewa, burzy go nawalność fali lub nieprzewidziany przypadek.

Załoskotały żelazne skrzydła waporu, serce bije mocniej, myśl poddaje się w spokoju niezbędności położenia. Ruszył się zwolna i oddziela się od bezpiecznego *Molo*. Jego flaga z czarnego dymu szeroko za nim powiewa, iskrzy się jak czarnozłocisty pioropusz zaczarowanego jeźdzca; jego zębiste koła, jak olbrzyma ostrogi, któremi morze bodzie po żebrach falistych, a miotający się, pieniący żywioł, jak rumak pod dzielnym jeźdzcem, zżyma się, rzuca, ale idzie posłuszny.

Światełka porozrzucane po wzgórzach i w dnie coraz ciaśniejszego półkola, gasną jedno po drugiem, brzask tajemniczy zasuwa ruchliwe widziadła portu, maleje, niknie Triest, tylko strażnica jeszcze majaczy jak zachodząca gwiazda i zdaje się iść w zapasy z światłem Oriona i Kassiopei, na podobieństwo małej duszy usiłującej wielkie naśladować duchy. Wiatr powiał silniejszy, kładzie się wapor to na tą, to na ową stronę, to jedno, to drugie koło głębiej się zanurza. Ruch ten dziwnie udziela się ciału; w kajucie chwieją, kołyszą się lampy, i ten i ów wybiega na pokład; ale wapor, pewny stukonnej siły, nie miesza się tem bynajmniej, sunie bezpiecznie, pławi się jak wieloryb, i natarczywym pędem rozbija przemożnie oporną siłę żywiołu. Noc coraz głębsza, spuszcza przerażającą tajemniczość swoją na wszystko, co nas otacza, wzrok się ostrzy, natęża; fale, rozbite przodem statku, ozłocone blaskiem światła z masztu bijącego, rozstępują się po obu bokach; po grzbiecie kipiących bałwanów tańczą fosforyczne iskry i uścielają śrebrzystą drogę, która jak lita wstęga ciągnie się za statkiem.

Na tylnej części pokładu stoi jak posąg sternik przy swoim rudlu, w czarnej, szerokiej guni, białym opasany sznurem, rzekłbyś, że to chłop od Złoczowa, kiedy w czasie deszczu lub śnieżnej zamieci kaptur swego sieraka na głowę zaciągnie, stoi, i nito kapłan pogański przed ofiarnikiem pilnujący ognia, nito anachoreta ciężkiej oddany pokucie, nabożnie, niemo, nieruchomo, stoi jak posąg, przemów do niego, nie odpowie, ani kiwnie głową, ani krokiem stąpi, tak utkwił oko w igłę magnesową przy świetle latarni. Tam zprzodu znowu, przylgnąwszy do krawędzi statku, patrzy drugi w pomrokę spiewając piosnki żeglarskie. Oba czuwają nad bezpieczeństwem wapora.

Na pokładzie snuje się jeszcze całe grono podróżnych. Grecy, Włosi, Turcy, Węgrzyni; goszczą się, palą fajki, chodzą, rozmawiają, między nimi trzy tylko kobiet, z których jedna Sławianka z Lublany, niezwyczajnej piękności. W tych rozmaitych grupach, strojem, rysami i mową różnych, znalazła się i dawna miła znajomość; Baron Horecki. W błogosławionej jego ojczyznie, u wód Trenczyńskich, strawiliśmy z sobo nie jedną przyjemną godzinę. Miła wszczyna się gawędka: i on pierwszy raz na morzu, pierwszy raz Włochy zwiedza; staje umowa nierozłącznego przepędzenia z sobą pobytu w Wenecii. Już północ blizko, zwolna rzednieją grupy; jedni oddają się jeszcze dumaniu, drudzy szukają w kajucie schronienia. U steru inny już, lecz równie zakapturzony posąg; z czeladzi okrętowej jedni chodzą wolnym, wymierzonym krokiem, uważając pilnie ruch i kierunek statku, drudzy leżą na ciepłej kotlinie, a wszyscy nucą lub pomrukują piosnki dla odpędzenia snu lub nudów. Pobyt długi na morzu, gdzie się nic prócz nieba i wody nie widzi, czyni zwykle marynarza, który tygodnie, miesiące i lata na morzu przepędzać musi, obojętnym na te wielkie natury widoki. Tracą one dla niego z czasem cały swój powab, a jednostajność życia i wrażeń utrudzać musi umysł w sposób uciążliwy. W wnętrzu wapora cyklop zażega ognisko, rozmaga się w wulkan, kipi i wre w kotle, kipi i wre na około okrętu; przylgnąłem i ja na krawędzi i łączę mżonkę moją z szumem pary i fali.

Pomysł wieczystego trwania natury, najściślej łączy się z widokiem morza. W wiecznem przeistoczeniu zostając, wiecznie trwają wody oceanu, ulotniają się, nikną i znowu do siebie wracają. Na czas niejaki wypożycza morze cząstki swoje innym jestestwom, tajnie, ulotnie, rzecby można ukradkiem, bo niewidomo; a cząstki owe, w tym swoim przechodzie, nie dające się żadną wstrzymać siłą, gubią się po całej naturze, i znowu w wyższych sferach znajdują się, łączą i wracają w morze. Od początku istnienia płanety naszego, ani jedna zapewne kropla nie przepadła, ani o jedną nie umniejszyły się wody oceanu; tylko nie zawsze zebrana jest ich masa, długo i przez rozliczne przechodzić musi ciała, zanim znajdzie znowu żywioły sobie spokrewnione, od których oderwaną była, według praw odwiecznie sobie przepisanych i odłącza i łączy się z niemi. Chwilowo, miejscowo, mogą wody świata raz mniej raz więcej w swojej kubicznej zawierać całości, ale ogólna ich masa ani o pyłek się nie zmniejszy, dopokąd ziemia do ognistszego nie zbliży się płanety, ani o kroplę się nie pomnoży, dopokąd od wodnistszego równo zawsze oddaloną będzie. Wieczyście, jak świat, zostanie ta sama i jedna w objętości natury.

Wszyscy podróżni już się do kajuty schronili, tylko dwoje dziatek z matką niebędącą w stanie zapewne wygodniejszego miejsca zapłacić, spoczywa na tłómoczku, a matka otula je czem może i czuwa nad niemi. Spuszczam się i ja po przykrych, wązkich schodach do wnętrza statku, po lewej stronie, ku tyłowi statku, mniejszy, ale kosztowniej i gustowniej przyrządzony pokoik dla kobiet; po prawej salka dla mężczyzn. Na środku tej kołysze się lampa, która duży stół i różne nocne grupy spiących podróżników oświetla, dwóch tylko średniego wieku Włochów w gorliwej ale cichej rozmowie siedzi przy jednym końcu podłużnego stołu, wolnego od tłómoczków i porozrzucanej odzieży, a butel czerwonego wina przed nimi. Spią i towarzysze moi. Do koła owalnej salki, jedno ciągłe ławko we siedzenie, wysłane i skórą obite; powyżej tego siedzenia ciągną się również w okół, do ścian okrętu przyparte, na chudych i krótkich pasażerów wyrachowane, skórą obite łoża. Ani się w nich obrócić, ani wyciągnąć, ani podnieść. Kto nie był w stanie oprzeć się morfeuszowym pokusom i w poziomej linii zdołał się w nie wtoczyć, przepłacił te roskosze chromotą lub guzem na czole; ów zaś, który w postaci swojej, bądź na wzdłuż, bądź na szerokość, oczywiste upatrywał przeszkody, a raczej niepodobieństwo wsunąć się do tej trunny i wolał na ławce lub pod stołem zażyć wczasu i zupełną wolność swoim członkom zostawić, niż pójść na męki w łoże Prokrustowe. Wprawdzie przy tej jednotonnej muzyce, którą parowy statek szumem skrzydeł swoich dla znużonych gości wyprawia, nieźleby się zasnęło, ale stanęła mi w myśli powiastka babki mojej o Madejowem łożu, i oparłem się ponętom. Wyszedłem znowu na pokład.

Coż może być spanialszego nad cichą, pogodną noc na morzu! Co za widok! Nademną niezmierzony strop z lazuru, utkany milionem gwiazd w niewidzianej dotąd jasności; w około nieprzejrzana przestrzeń niezgłębionych wód, których wnętrze miliony nieznanych zamieszkały istot! Jakże małym czuje się człowiek, widząc wszystko około siebie bez granic; jakże małym w tej świątyni natury, której tchnienie wszystkie twory nieprzerwanym łańcuchem w jedną łączy całość, a przecie, jakże wielkim zarazem, że tę zmysłami nieogarnioną, pełną życia całość, w ciasnej i słabej tkaninie mózgu swego zwiąże i pomieści! Nigdzie silniej nie cisną się do duszy twojej te wielkie zagadki życia, zagadki istnienia twojego, świata i natury. Jeżeli gdzie byłby duch twój zdolny rozwiązać te zadania, pojąć myśl wieczystego trwania natury, tubyś je rozwiązał, tubyś ją pojął. Napróżno! I coż zbadały wszystkie natężenia ducha ludzkiego od czasów Platona do Szellinga i Hegla? Dałyż nam pojęcie świata, celów i sił natury, istności twórcy, przyszłości i przeznaczenia człowieka?.. I prędzej te zadania siłą uczucia, niżeli duchem i myślą obejmiesz!.. I gdy tak dumasz, cofniesz znowu myśl twoją z tej tajemniczej, niezbadanej krainy, i zwrócisz ją na rzeczywistość, na świat widomy, na życie, jako objawienie tego, co jest niepojętem, i ogarnie cię tęskność za niemi! Ale tu tylko widzisz sklepienie gwiaździste, tylko morze bez granic rozlane przy tobie, nigdzie przedmiotu, któryby przypominał, że i tu jeszcze, na tej niezmierzonej wód przestrzeni, należy człowiek do tego świata, do tej ziemi, do której przykuty ciałem i zmysłami, i jeszcze milsze stają ci się przypomnienia ziemskie, przeżytych chwil, doznanych losów, przebytych kolei żywota; zatęsknisz za niemi rzewnie, przywoływasz je pamięcią, wszystkie ci są miłe, miłe nawet wten

czas, chociażby w treści swojej nic nie miały prócz cierpień i walki z przeciwnościami!..

Po tych spaniałych, wielkich widowiskach nocy, poczęły następować wdzięczne obrazy zbliżającego się poranku. Czułem wszakże, że duch mój nie był już na tym stopniu uniesienia. Z przechodem nocy w brzask świtu, zdawały się drobnieć myśli moje, a czucie wolnieć i ostygać. I skądże mogło to pochodzić? Może stąd, że nieoznaczone, niezmierzone w swojej wielkości formy, że tak rzekę, nocy, otrzymują naraz rozmaitość, granice i wyrazistość; że w miarę, jak przedmioty, wprzódy w jedną, spaniałą całość spłynione, dzielą się i rozpojedynczają, również myśl i czucie dzieli się i słabieje.

Słońce zapowiadało swój występ na widokrąg złocistym od wschodu obrąbkiem, i oto inne widowiska! Odległe brzegi Istrii, góry Tyrolu, wyspy pobliże Wenecii zwiastujące, poczęły się wydobywać z pod zasłony zmroku; drżące zwierciadło dotąd spokojnego morza, począł muskać wiatr wschodni, purpurą powleczone fale kołysały się w nieprzejrzaną odległość.

Różanym świtem życia jest młodość. Po miłej, majowej nocy dzieciństwa, w której słowik nam spiewa i strumyk szeleści, powleka ona różaną barwą obłoczki na widokręgu życia; ułudzenie maluje obrazy przyszłych roskoszy; daje ograniczone, ale blizkie, niestałe, ale tem powabniejsze użycie, że je twórcza podnosi fantazia. Jeszcze nacisk żądzy namiętnej nie miesza harmonii między naturą a sercem; jeszcze powszedność i nawyknienie nie odbierają nieba, stworzonego marzeniem; złotą krainę nadziei nie tknęła jeszcze żelazna doświadczenia ręka!

Ale oto podnosi się promieniste słońce, rozum w dojrzewającym człowieku, i rozwidniła się widownia. Pstre obłoczki miłych marzeń znikają powoli; bierliwość zmysłów przechodzi w czułość; instynkt w świadomość sił i pożądliwość; serce, któremu cała natura, cały świat był ciasny, musi się poddać stosunkom, musi przejść w obręb powołania; a duch, dla zaspokojenia zwyczajnych potrzeb bytu codziennego, musi najwznioślejsze, najwyższe dążenia swoje, położyć w ofierze. Słońce i rozum wszystko rozwidniają. Z żałością i oporem widzi serce jak rzeczywistość odbiera mu jego lube utwory, jeden po drugim; widzi się samotne, w nieznanym, niepodzielającym świecie i w wiecznym zostaje oporze ze sobą i losem. Nic nie użycza pewnego stanowiska; sama nawet przyszłość jest tylko widokiem w ciemną, nieprzejrzaną odległość.

Lecz właśnie tenże sam rozum przywoływa nas nazad do użycia obecności. Użycie to, im w ciaśniejszych podaje nam się obrębach, tym łatwiej je uchwycić, ustalić i uszlachetnić umnictwem lub naukowem dążeniem. Onto udziela bystrości wzrokowi ku zgłębianiu niezmierzonego świata, który u nas się mieści; onto nas uczy, że wszystkie owe naszych uroszczeń, naszych marzeń twory, wszystko, co nas dręczy, pociąga lub odtrąca, są tylko zjawienia, które fantazia przed duchem naszym przewodzi, a którym my, gdy bytu w rzeczywistości nie mają, rozwagą, rozbiorem i mocą ducha, całą ich władzę odebrać możemy. Wypadłością takowych rozwag i wchodzenia w siebie, są stałe, niezłomne zasady; świadomość zaś tej jasności i oznaczenia, w których życie, szczęście i powołanie człowieka, bezwzględnie na przypadkowość i przyszłość, w obecności jedynie pojmujemy, daje sowite wynagrodzenie za ów zmienny, niespokojny i nigdy zaspokojenia niedający, czarodziejski świat fantazii; wszakże jej utworów, gdyby nawet w rzeczywistość przeszły, serce ludzkie aniby pojąć, ani znieść zdołało!

O godzinie piątej błysnął szczyt wieży ś. Marka, i długo, długo sam jeden pływa po purpurowej przestrzeni; na rozległym widokręgu jawią się okręty, jak kaczki, jak łabędzie, wieloryby; wiatr powiał silniej, morze coraz niespokojniejsze, koła się natężają, szumią, łoskocą, roztrącając fale: brzegi stałego lądu, jak czarna wstęga, rozciągają się w prawo, a w ich dnie, śniegiem okryte, połyskują alpy Tyrolu; wszystko około nas tańczy, wszystko coraz wyrazistsze, dalsze brzegi *Palestryny*, bliższe wyspy *Lido*, *Malamocco*, ich warownie i domy, występują z morza; przestrzeń coraz ograniczeńsza przybiera porządek i związek obrazu, z niczem niedającego się porównać.

Jak myszy z nocnej kryjówki wyłażą na pokład podróżni; krąży czarna kawa z ciasteczkami, krąży herbata, przy łoskotnej muzyce wapora prawdziwie tańcująca; na ławce pokładowej, o jej poręcze oparty, łagodzi kawą, blady Włoch, skutki morskiej choroby; boleje nad nim troskliwa kochanka; czerwonym półpłaszczem odziany, w czarnym birecie, na którym strusie pióro powiewa, rzekłbyś, że to obywatel z czasów Dandola lub Pizaniego.

Jużeśmy śród lagunów; kanałem sunie wapor, ostrożnie mija ładowne okręty *la bella Teresina*, piękny sycylijski okręt pozdrawia wapora; *il Podrone* na podwyższeniu uważa z natężeniem kierunek statku, a sążnisty majtek chwyta żerdź liczbami oznaczoną, i co chwila mierzy głębokość kanału, i co chwila głośno wywołuje jej miarę. *Ecco Venezia!* odzywają się głosy, wieża ś. Marka już cała wynurza się z toni, i oto druga, trzecia, czwarta; obraz szczególniejszych barw, osobliwszych zarysów, tak uroczy, tak fantastyczny, tak cudowny rozwija się przed nami, że wszystko zda się być marzeniem, wieże, pałace, kopuły, warownie, maszty, żagle, bandery, ogromne nieprzejrzane miasto, jak korona z drogich kamieni na morzu utkwiona, pływa i błyszczy i przegląda się w śrebrzystej toni, jak gdyby we własnej zakochane piękności. W całej rozciągłości leży stara Wenecia przed naszem obliczem; nie widać na czem spoczywa, śród wody, na falach, jak liniowy okręt na kotwie śród oceanu. Obraz ten jest obcy dla naszego oka, w duchu naszym nie ma nań miary, nie ma podobnych zarysów w pamięci jak ich nie mamy o lodowcu, któregośmy nie widzieli, o wulkanie, którego grzmot nie obił się o ucho nasze, wszystko uczucie jest tylko

zdumieniem, podziwem, nieledwie z trwogą myślimy o zuchwałej śmiałości człowieka, który tu śród łona burzliwego żywiołu, dla innych istot przeznaczonego, zbudował sobie siedlisko, podziwiamy uroczość, przepych tych siedlisk, a choćbyśmy nawet niewiedzieli, przeczulibyśmy, że te miejsca wielkie koleje losów przechodzić, wielkich ludzi wydać musiały.

Wrażenia tego widoku są tak silne, przemożne, iż zaledwie postrzegamy, że statek coraz w swym pędzie wolnieje. Stanął. Jak małe ptactwo spostrzegłszy unoszącego się orła, ściga go, okrąża, dociera; tak gondólki i czółna różnego składu, ujrzawszy dymną flagę wapora, zewsząd się gromadzą, wyścigają się, krążą jak jaskółki i docierają, aby przyprzeć do niego. Ruch niespokojny, wrzawa na pokładzie, każdy już przygotował swój tłomoczek, każdy radby pierwszy dostał się na czółno, na które go krzykliwy barkarola zaprasza; nieład przez to sprawiony zaledwie ustępuje powadze kapitana, który wyładowaniem zarządza, wreszcie zrzedniało na pokładzie, na wezwanie *Grubera*, już poprzednio jako *cicerone* nam zaleconego, wyciąga na czatującej barce długi Tyrolczyk żyrafią szyję, utkwił w nas oko, i już nas z niego niespuszcza, napędza swego barkarolę: krzyżują się gondoly, łopoczą wiosła, kłótnie, groźby, ale Tyrolczyk, jak rodyjski kolos na środku barki rozparty, niemieszа się przygodą, przypiera zwycięzko do statku, chwyta nas wraz z tłomoczkami, i jak swoją zdobycz uprowadza na swojem *batello*.

Za każdem uderzeniem wiosła otwierają się czarodziejskie, coraz inne, coraz zachwytniejsze widoki! W lewo *St. Georgio* i *Giudecca*, w prawo *Riva delli Schiavoni*, pałace, mosty, więzienia przez Kasanowę tyle osławione, most westchnień, a dalej pałac dożów, *Piazetta* z dwoma kolumnami, w tyle Piazetty błyszczący kościół ś. Marka, i początek wielkiego kanału. Ten nacisk przedmiotów, tak zupełnie dla nas obcych, tak niepodobnych do tego wszystkiego, cośmy dotąd kiedykolwiek widzieli, chwyta naszą myśl, nasze uczucie, nie tyle niespodzianem zdumieniem, jak raczej jakąś głęboką, błogą radością, że przed sobą rzeczywiście, wcielono widzimy, to wszystko, czego same już opisy, obrazy, wyobraźność naszą prześcigały. Ilekrotnieśmy je oglądali, ilekrotnie o nich czytali, zdawały nam się zawsze utworami fantastycznego rodzaju, jak gdyby usnute rozbujałą mżonką poety, oko mierzy to ogrom, to ciężkość, to lekkość tych mas, podziwia symetrię we wszystkiej tej rozmaitości a przecież wszystko to, nie jak jest, nie jak się jawi; lecz że rzeczywiście tak się zjawiło, przejmuje nas zdumieniem.

Ale nasz *Gruber*, więcej zapewne nadzieją zysków swoich, niż uniesieniem naszem zajęty, już się uwinął z paszportami, i już nas do swego pomieszkania wiezie. Jesteśmy w *Canal grande*, we środku Wenecii, śród pysznysh pałaców sławionych imion *Grimani*, *Pesaro*, *Contarini*, *Corner*, które to w prawo, to w lewo, cicho, uroczysto, jak widma przesuwają się koło nas, w ciaśniejszym coraz kanale. Z nowym, nieznacznym zwrotem w prawo, jawi się w dali głośny po świecie łuk mostu *Riallo*, ponad ktory potrójny rząd domów się wznosi, i wnet znowu, na skinienie Grubera, gondołka ślizngła w prawo, w ciaśniejszy kanalik: cichość grobowa dokoła, tylko plusk wiosła lub jednotonny głos mijających się gondolierów odbije się czasem o uszy; puste domy, jak kościotrupy olbrzymie myją stopy swoje w czarnych wodach kanału, którego gęste wyziewy oddech nieledwie tamują; żadnej tu ścieżki, żadnej drożyny nie ujrzysz, nigdzie nie zazieleni się drzewko, nigdzie nie zaszeleści listek porannym wietrzykiem, ni motyl przeleci, ni zaspiewa ptaszek, nie zaturkocze powóz, nie zatętni rumak kopytem, z wnętrza murów żaden się głos nie ozwie, wszystko nieme, puste, milczące; wysokie drzwi, balkony, okna pozabijane deskami, tu owdzie z nich sterczą żerdzie z pozawieszaną, podartą, do suszenia bielizną. Te żałośne obrazy ubóstwa i spustoszenia, ta smutna sprzeczność nędzy obok przepychu, świadczą na pierwszym już wstępie że Wenecia owa niegdyś tak urocza, tak dumna oblubienica adriatyckiego morza, teraz już tylko wdową w żałobne przyodzianą szaty.

Wymówiliśmy się poczciwemu Tyrolczykowi i wracając tym samym szlakiem stanęliśmy w oberzy pod godłem Europy, z uroczym widokiem na wyspę *San Georgio Maggiore*, *Dogana del mar* i *Portofranco* i na rozległe laguny.

---

# Wiadomości literackie.

Dokończenie.

Kurier warszawski nakoniec, wilgotny, podkasan, często dwoma i z trzema dodatkami, wie o wszystkiem co się w mieście i za miastem, w nocy i we dnie, stało i stać ma; kto umarł, kto się ożenił, gdzie powozy, gdzie konie do sprzedania, jaki pies zginął, kto potrzebuje belfera, który gorzelniany jest bez służby, panna bez obowiązków, ubogi bez jałmużny, pogorzelec bez wsparcia; gdzie się odbywa publiczny egzamin bez osłów, odpust bez oktawy, z oktawą, ile razy przywołano aktora, aktorkę, bo oni zawsze dobrze grają; ktora balotniczka wyjechała, która słaba, jednem słowem w powietrzu, na lądzie i na wodzie, wszędzie był, wszędzie widzi i słyszy, od pałaców aż do lepianek, bez żółci, bez krytyki, bo tej się strzeże jak morowego powietrza, wszystko chwali, niewyjmując miodu, ponczu, kawy, herbaty, piwa bawarskiego, owsianego, luftowego, śniadań, polędwic, flaków, bigosów, na któreto posiłki zawsze obywatela z płockiego (upatentowana na podobnych amatorów okolica) nie naumyślnie, niby przypadkiem wchodzącego, głos wdzięczności i rekomendacii ogłasza, donosząc przytem o cudnej muzyce arfiarek; a to wszystko hurtem, jedynie na usługi publiczności.

Niechaj mi się schowa paryski *Constitutionnel*, z ich wyłączną wrzawą deputowanych, albo angielskie parlamentarskie gazety z ich niższą wyższą i i najwyższą izbą; — Kuryerek i o tem doniesie, ale bez nudzenia, kruciótko, zwięźle, wie co minąć, o czem napomknąć, co wyraźnie jak wół, co niezrozuumiale umieścić, a warszawianin niewychodząc z pokoju może się dowiedzieć, nie tylko co się przytrafiło w jego rodzinnem mieście, ale i co się dzieje na całym świecie, za złp. dwa na miesiąc.

## MODY WARSZAWSKIE.

Panie, które mają zgrabniejsze nóżęta, zarzucają używanie długich sukień, przeciwnie stopy zbudowane na urząd okrywają ciągle dostatnią falbaną, iżby w oczy kurzyć i chodniki zamiatać

Ponieważ widok śnieżnych ramion wiele przynosi korzyści, mężatki i dziewice, nie rzeknąć rozwódki, w przerabianych ze starych szlafroczków, kardynałkach, stale używanych, poczyniły bez pomocy krawców, wabne na plecach przepięcia, aby białość ciała okazać; takowe przepięcia podobne są do okienek; wdowy noszą je z klapami oszytemi torsatką, które przecież psotny wietrzyk podnosi.

Młodzież męzka zawsze się jeszcze kręci w rajtrokach *) z głęboko na uszy wciśniętym kapeluszem. Na głowie na bakier *à la Polak*, wcale tutaj nieużywane, podobno panowie w Galicii tęższymi w tej mierze jesteście; alo też to do waszych białych płaszczy stosowniejszem jest. Niedawno widziałem na senatorskiej ulicy waszego zucha: opończa jakby na kruciatę, (w nocy wystraszyłby tuzin kobiet) czapeczka ledwo się ucha trzymała, i gdyby nie było wielkie, spadłaby bez pochyby. Kawaler przyjechał powozem, ale dla tego ostrogów w domu niezostawił, wąs wywoskował do góry, brody nieogolił, jędrna sztuka, minął kilkanaście xięgarni, wstąpił na śniadanie. Byłbym zapomniał, szedł za nim strzelec z koguciem piórem, z kordylasem przy boku, gdyby nie galony, sądziłbym że na bekasy albo na dziki przyjechał. Nasi dandowie inaczej, w krótkich hiszpańskich płaszczykach, umuskani jak lalki, ostrożnie się przemykają z salonu do salonu, cicho, skromnie i gdyby nie wysokie obcasy, nie zgadłby nikt, że to są lwy; o xięgarza także niezaczepi, ale gastronoma Francuza nie minie, chociażby mu przyszło na kredyt zieść *majonez*.

A. Wilkoński.

---

## Uwagi nad recenzią gazety lwowskiej o krotochwili *Chce mu się pobrykać*, i nad odpowiedzią pana Aśnikowskiego.

*Nadesłane.*

Także i dziennik mód paryskich, jako organ publiczny, nie powinien być niemym świadkiem tam, gdzie idzie o skażenie smaku publiczności, gdzie muza tłumacza w susach ciarlatana wyprawia odrażające łamańce. Czyliż dlatego, że ta sztuka nosi nazwę krotochwili, można ze sceny tworzyć *stabulum Augiasa?* Wszakże krotochwila jestto wesołej myśli lekka wychowanka, ona goni za śmiechem, wydrzeźnia się z umizgiem; ale potrąca prawdę. W każdej krotochwili są spiewki celniejszą ozdobą sztuki, w nichto wolno jest autorowi chłostać biczem dowcipu wady każdego stanu; ale zdrożności moralne nienależą na scenę lecz przed kratki sądowe. Chcemy tu mówić o rymowanych końcówkach, na które się tłumacz wysilał, aby spotwarzyć rzemiosło. Każden stan każden zawód jest sam przez się szanownym, bo jest ogniwem jednego łańcucha w towarzystwie. Powtarzamy więc: można wyśmiewać; ale nie obryzgiwać kałem całą klasę w towarzystwie. Mówi tłumacz: że przez lat 28 pracy mej (??) na scenie polskiej, miałem sposobność poznania publiczności i ocenienia jej względów. Jako? Więc tak dobrze poznałeś gust naszej publiczności szanowny tłumaczu, że sam uznajesz, iż lepszej niewarta strawy? Publiczność nasza odpowiada ci nato szanowny tłumacz przyjęciem, z jakiem pożegnała tę ramotę. Dalej mówi tłumacz: jam tylko dopełnił woli dyrekcii teatru Zazdrościć wypada dyrekcii teatru, że znalazła w p. Aśnikowskim taką powolność. Dotąd wiedziano tylko, że salamandra żyje w płomieniach, ale teraz wiemy, że i panu Aśnikowskiemu nie jest duszno wśród wyziewów dymiącej butyki, byle tylko dopełnił woli dyrekcii, która od tej chwili będzie zapewne umiała zapobiedz tej skrzętnej powolności, i talentu pana Aśnikowskiego do czegoś innego . . . użyje. Radzibyśmy potwierdzić, że *Ingomar* i *Partenia* są utworem pana Aśnikowskiego; ale mimo jego dowodów nie uwierzą w Warszawie, w Wilnie, bo sztuka Syn puszczy bardzo się u nas podobała. Bajka przytoczona przez pana Aśnikowskiego domaga się drugiej bajki Krasickiego: Wlazł dudek między pawie.

*Vitalis Prawdomowski.*

*) W poszycie Biblioteki warszawskiej na październik obszerniej w tej mierze.

---

## Uwiadomienie.



*Redaktor* TOMASZ KULCZYCKI.

CZCIONKAMI PIOTRA PILLERA.